

MANIEK Z KRAKOWSKIEGO ZWIERZYŃCA – URODZONY ANTYKOMUNISTA

Władysław Tyrański

(Red.) *Poniższy tekst został napisany jako posłowie do redagowanej i przygotowanej przez Władysława Tyrańskiego do druku książki Mariana Kalety Emigrancka spółka „Szmugiel”. Wspomnienia dostawcy sprzętu poligraficznego przemycanego ze Szwecji do Polski dla opozycji antykomunistycznej oraz solidarnościowego podziemia w latach 1978-1989. Książka wydana została pod koniec 2015 r. przez Instytut Pamięci Narodowej w Warszawie. Wydawca po wykonaniu korekty redakcyjnej posłowania zaproponował usunięcie dwóch fragmentów wykraczających w jego ocenie poza ustawowo określony przedmiot działalności IPN oraz okres, którym się zajmuje. Autor zgodził się na to, ale pod warunkiem, że zmiany wymuszone na nim przez wydawcę zostaną w tekście odnotowane. Z kolei wydawca nie zgodził się na ujawnienie swojej ingerencji w tekst i podjął decyzję o jego usunięciu z książki, gdzie nie został wydrukowany.*

W „Sowińcu” publikujemy pełną wersję posłowania W. Tyrańskiego z zaznaczeniem (przez podkreślenie) dwóch fragmentów, łącznie z proponowanymi przez autora adnotacjami, z powodu których szef Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie podjął decyzję o jego niewydrukowaniu w przygotowywanej książce.

Marian Kaleta jest bohaterem opowiedzianej przez siebie historii. To zwierzyniec-ki andrus, wisus albo łobuz z przedmieścia Krakowa, od małego żyjący z władzą na baki. Jego opowieść jest o tym, jak nie poddał się, będąc dzieckiem, władzy Władysława Gomułki, a potem – już jako dorosły człowiek – władzy Edwarda Gierka i Wojciecha Jaruzelskiego. Za Gomułki na władzę nadawał, za Gierka nielegalnie uciekł z Polski przez zieloną granicę na Zachód, za Jaruzelskiego organizował w Szwecji szmugiel maszyn drukarskich dla wydawnictw podziemnych Polsce.

Słuchając jego opowieści, można się przekonać, że ten chłopak miał talent i dobrze kombinował. Skoro podziemie w Polsce tak bardzo potrzebowało sprzętu poligraficznego, trzeba było go zorganizować i do kraju przetrzeć. Zaczął więc od tego, że powie-lacze, które szwedzkie firmy wyrzucały na złom, ale jeszcze w całkiem dobrym stanie, trafiały do wynalezionej przez niego „złotej rączki”, w krótkim czasie przywracającej

je do pełnej sprawności. Dochodziły do tego maszyny zakupione na pchlim targu oraz przekazane przez różnych darczyńców, w tym organizacje szwedzkich socjalistów sympatyzujące z Polską Ludową.

Gdy sprzęt był już zgromadzony, należało go przeszmuglować do kraju. Omijaniem cła zajmowali się od wieków marynarze. Wśród nich Maniek szukał, aż w 1979 r. znalazł polskiego kapitana jachtu pływającego od czasu do czasu z kontrabandą z Polski do Szwecji. Dogadali się. Maniek wrzucał na jacht powielacze, farbę drukarską i zakazane w Polsce książki, a na jachcie fasował polską wódkę i inne chodliwe w Szwecji artykuły wyprodukowane w PRL. Potem to upłynniał, a kapitan dzielił się z załogą dochodem ze sprzedaży.

W ten prosty sposób Maniek połączył ideę walki o wolność całego polskiego narodu z walką o lepszy byt kilku naszych rodaków. Był to miłowy krok naprzód, bo jego ideowi mentorzy z pomarcowej polskiej emigracji w Szwecji teoretyzowali o patriotycznej powinności Polaków walki z komuną *pro publico bono*, czyli za darmo. Zerwanie z tą teorią okazało się ze wszech miar słuszne. Dzięki temu trafiło do Polski ze Szwecji ok. 250 maszyn wyekspediowanych przez Mańka zgodnie z przyjętą przez niego zasadą, że wynajęte przez niego do przerzutu „mrówki” nie będą ryzykować za darmo, a prawdziwy przemysł kosztować musi.

Jego osiągnięciem było też doskonalenie techniki przemytu w służbie narodu. Kiedy w 1981 r. zakończyła się era jachtów zabierających pod pokład trefny towar dla polskiego podziemia, wykombinował auto z zamaskowaną przegrodą na pace, za którą to przegrodą ładowało się co trzeba. Po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce nastał bowiem czas wożenia do kraju pomocy charytatywnej z Zachodu. Na pakę samochodu z taką pomocą ładowało się na przykład szpitalne łóżka, a za ukrytą przegrodę powielacze. Polscy celnicy salutowali z wdzięcznością kierowcy, zamiast sprawdzać wymiary jego auta, co pozwoliłoby wykryć skrytkę. Salutowali tym chętniej, że do drugiej ręki zawsze coś od niego dostali, a od Mańka inkasował wcześniej kierowca.

Z biegiem lat skończyła się niestety epoka auta z podwójną ścianą, bo w połowie lat osiemdziesiątych zmniejszyła się znacznie pomoc charytatywna słana z Zachodu do Polski po 13 grudnia 1981 r. Wtedy Maniek wykombinował, że założy firmę transportową, która – oficjalnie świadcząc usługi transportowe po całej Europie własnym samochodem ciężarowym – zabierze za jednym razem nie kilka, ale setkę maszyn i tonę wszelkiego dobra służącego podziemi w Polsce. Jak to możliwe? Wielkie tiry nie były wtedy drobiazgowo sprawdzane. Wystarczyło zadeklarować na granicy, że wiezie się na przykład tranzytem przez Polskę do Austrii części samochodowe, a celnicy brali kopię takiej deklaracji i na tym przeważnie ich rola się kończyła.

Pomysł ze szmugłem powielaczy tirami był nowatorski. Wcześniej nikt na to nie wpadł, choć sprzęt drukarski przemycany był też z Francji i Włoch. Tak więc w czerwcu 1986 r. wjechał do Polski tir ze Szwecji załadowany sprzętem drukarskim po sufit 20-tonowej naczepy. Ale cztery miesiące później, przy drugim podejściu, zawiodła realizacja. Szwedzki celnik odkrył, że tir wysłany przez Mańka ma lewe tablice rejestracyjne. Kierowca tira nie zamierzał zrezygnować z kursu, bo zainkasował już od Mańka wynagrodzenie, a nawet zdążył je już wydać. Maniek robił, co mógł, interweniował nawet u szwedzkich służb specjalnych, których funkcjonariusz nakazał celnikowi przepuścić tir na prom. Celnik ustąpił, prom z tirem odpłynął do Polski, ale za nim popłynął też z cła

w Ystad do Świnoujścia teleks do celników polskich, żeby zwrócili uwagę na podejrzany samochód i jego ładunek. Parę godzin później żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza dobrali się w Świnoujściu do trefnego samochodu, ujawniając wieziony przez niego wywrotowy towar.

Ta wpadka zdarzyła się w kulminacyjnym punkcie działalności szmuglerskiej Mańka. Trzeba przyznać, że był w tym dobry. Tir należący do zagranicznej firmy spedycyjnej mógł rzeczywiście nie wzbudzać niczych podejrzeń. Od tej strony maskowanie przetrzutu kontrabandy było dobre. Zawiodło jednak dopracowanie akcji w kilku istotnych szczegółach, takich jak: posłużenie się fałszywymi tablicami rejestracyjnymi, na których jechał tir, samowola kierowcy tira, który wjechał na prom zamiast uciekać – jak mu Maniek nakazał w razie nieprzewidzianych zdarzeń – bo pieniądze za opłacony wcześniej kurs już wydał, a na dodatek, co wyszło po zatrzymaniu tegoż kierowcy w Świnoujściu, nieposiadanie przez niego ważnego prawa jazdy odebranego mu wcześniej przez szwedzką policję za jazdę po pijanemu.

Po tylu zachwytach nad talentem Mańka, warto prześledzić, jak do tego wszystkiego doszedł. Jego życiowa droga nie była prosta, można nawet powiedzieć, że była dość zawila i kręta.

Maniek urodził się antykomunistą. Inni podobno ssali z mlekiem matki polski antysemityzm, a on wyłącznie antykomunizm, który przeszedł na niego z dziadka, przedwojennego piłsudczyka, i ojca uznanego za element politycznie niepewny w Polsce Ludowej. Odziedziczył po nich zadrę, którą nosił w sobie przez całe życie i ma ją do dziś, a jest nią ustanowienie realnego socjalizmu w powojennej Polsce wraz z wszelkimi jego wytworami. Stąd nawet i dzisiaj potrafił nazwać Leszka Millera „komunistyczną kreaturą”, choć ten był posłem Sojuszu Lewicy Demokratycznej, a nie Komunistycznej, a poza tym głosowało na niego tylu uczciwych Polaków w wolnym przecież kraju. Dla Mańka to bez znaczenia.

Już w dzieciństwie szykował się do rozprawy z „czerwonym”. Od dziecka lubił być uzbrojony. Jak prawdziwy krakowski andrus nosił za pazuchą pistolet, tyle że korkowiec, ale cały czas nabity. W pierwszej klasie liceum wypalił raz na lekcji, przypadkiem. Wyrzucili go ze szkoły jeszcze we wrześniu. Przeniósł się chętnie do technikum chemicznego, ponieważ to dawało możliwość robienia materiałów wybuchowych na „czerwonego”. Jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B: trafił się stary, prawdziwy już pistolet TT, więc Maniek go kupił. Niestety do domu wpadła ubecja, zrobiła rewizję i pistolet zabrała. Za nielegalne posiadanie broni dostał dwa lata w zawieszeniu. Niedługo potem nadział się jeszcze raz. W zakładzie pracy, gdzie mieli praktyki uczniowie technikum chemicznego, trafiły się platynowe tygle, małe kubeczki do mieszania odczynników chemicznych. Zgarnijmy to, powiedział kolega, będzie forsa na zwalczanie „czerwonego”. Zgarnęła tygle osobiście koleżanka, a Maniek znalazł kupca. Za dwa dni miał milicję w domu, przesłuchania, proces i kolejne dwa lata w zawieszeniu.

Maniek poczuł, że socjalistyczny wymiar sprawiedliwości zaciska mu pętlę na szyi. Dusił się zresztą już od paru lat. Pod koniec podstawówki zaczytywał się w piśmie „Przygoda”, które było owocem popaździernikowej, gomułkowskiej odwilży. Owocem zatrutym, bo drukowało komiksy nie tylko o Mysze Miki, co było miarą ideolo-

gicznego przełomu po przyjściu Gomułki, ale też o walkach żołnierzy Armii Krajowej podczas wojny. Maniek łyknął zatruty owoc bez reszty. Zapragnął jak akowcy walczyć z wrogiem z bronią w rękę, ale nie chodziło mu już o Niemców. Chciał bić „czerwonego”. Koło siebie miał chłopaków czujących podobnie. Na nasypie kolejowym w środku Krakowa któryś wymalował napis: „Katyń pomścimy!”, a w dniu pogrzebu generała Bora-Komorowskiego w Londynie urządzili minutę ciszy, stojąc w samo południe na baczność w grupie trzydziestu osób w najmodniejszej krakowskiej kawiarni „Noworolski” w Rynku Głównym.

Potem były jeszcze gry i zabawy z milicją w marcu 1968 r. Najpierw ulotki anty-rezimowe wyrzucane z tramwaju, a później zakłady o to, czy uda się komuś przedostać nieznanymi tajnikami przejściami do zablokowanego Rynku. Przegrywał ten, kto wpadł w milicyjną blokadę, a za karę łądował jeszcze na komisariacie MO.

Maniek poczuł, że tu niewiele zdziała. Zwiedził się, że można czmychnąć na Zachód przez zieloną granicę – z Jugosławii do włoskiego Triestu. Powiedział o tym znajomym, a ci poszli za nim w ciemno. Ubecja nie zorientowała się w porę. W taki oto sposób w 1969 r. opuściło Kraków i PRL prawie jednocześnie 18 chłopaków z paczki Mańka. Nie mieli większych kłopotów z ucieczką. Największe miał on sam: nie dostał wizy do Jugosławii. Cóż było robić – przybił sobie odpowiednią pieczętkę samodzielnie, a najpierw umiejętnie ją skopiował z dokumentu paszportowego kolegi. Za takie fałszerstwo, gdyby wyszło na jaw, dostałby pewnie kolejne dwa lata w PRL, i to już bez „zawiasów”. Na szczęście był zawsze dobry „w rękach” i pieczętka sfalszowana okazała się lepsza od prawdziwej. Wylądował dzięki temu we Włoszech, w wolnym kraju, gdzie socjalistyczny wymiar sprawiedliwości PRL już nie mógł go dołapać. Co ważne, te jego ręczne zdolności były mu równie przydatne w ustroju kapitalistycznym.

Maniek zmuszony był na przykład do samodzielnego „wyrabiania” papierów na transport tirem części samochodowych ze Szwecji do Austrii tranzytem przez Polskę. A taki tir zamiast części zamiennych wiozł sprzęt drukarski dla podziemnej „Solidarności”. Maniek „wystawiał” więc odpowiednie dokumenty przewozowe – w swojej kolekcji miał pieczętki odprawy celnej ze Świnoujścia, plombownice do plombowania tirów na granicy i inne „przybory” do prac ręcznych. Miał też płatnych specjalistów od tej roboty. Wykonywali oni zlecenia płynące z kraju – lewe kartki na benzynę, która była potrzebna ludziom z opozycji, PRL-owskie dowody osobiste dla ukrywających się działaczy „Solidarności”, a nawet paszporty. Andrzej Słowik, działacz „Solidarności” z Łodzi, który w połowie lat osiemdziesiątych na fałszywym paszporcie wyjechał na Zachód i wrócił do Polski, lewy dokument dostał od Mańka dwukrotnie: na wyjazd i na wjazd. Ścisłej mówiąc, dali mu go fachowcy z Jugosławii wynajęci przez Mańka, którzy organizowali przerzut w obie strony. Podobnie było z sowieckim dezerterskim z Armii Czerwonej Aleksandrem Janyszewem, ukrywającym się w Polsce od wprowadzenia stanu wojennego. W 1985 r. do Niemiec odstawili go ci sami Jugosłowianie, a potem Maniek zawiózł go do Paryża. Za ten przerzut płaciła nie „Solidarność”, ale Rosjanie z Paryża, co jest dowodem nawiązania przez Mańka owocnej współpracy ze środowiskami emigracyjnymi kraju wroga.

Zdolności manualne Mańka przydawały się mu nie tylko w „robocie papierowej”. Dla bezpieczeństwa często zmieniał tablice rejestracyjne samochodom wysyłanym do Polski z maszynami drukarskimi. Nie robił tego drogą urzędową, ale o wiele prostszą:

ręczną metodą „podmiany bezpośredniej”. Gdy trafił na jakieś porzucone przez Szweda auto, odkręcał tablice, które odtąd jeździły na jego samochodach. Na tym zresztą powiła mu się noga. Fałszywe tablice rejestracyjne przełożone z osobowego volkswagena do ciężarowego tira marki Scania zwróciły uwagę szwedzkiego celnika w Ystad i doprowadziły do największego nieszczęścia w życiu Mańka – przechwycenia przez Wojska Ochrony Pogranicza w Świnoujściu ogromnego transportu sprzętu poligraficznego dla podziemnej „Solidarności”. Maniek nie mógł tego przeboleć, skarżył się więc na biedę polskiej emigracji antykomunistycznej na Zachodzie, która nie miała pieniędzy na zakup drugiego tira do transportu kontrabandy antyreżimowej do kraju, co ograniczyłoby częste wymiany tablic rejestracyjnych, na których wjeżdżały do Polski samochody z trennym towarem.

Do tej biedy doszły jeszcze kolosalne straty finansowe poniesione przez „Solidarność” w wyniku wypadki. Sprzęt poligraficzny wieziony tirem wyekspediowanym przez Mańka wart był ok. 250 tys. dolarów, samochód zarekwirowany przez władze PRL kosztował 20 tys. dolarów, a do tego doszła grzywna wyznaczona przez sąd za zwolnienie z aresztu szwedzkiego kierowcy – kolejne 40 tys. Razem ponad 300 tys. dolarów. To były wówczas naprawdę duże pieniądze – według dzisiejszej siły nabywczej jakieś 650 tys. dolarów. Maniek mógł tylko powiedzieć swojemu pryncypałowi Jerzemu Milewskiemu, szefowi Biura „Solidarności” w Brukseli – „Płacz i płąć”.

Jak widać, patriotyczna podziemna robota miała też swe oblicze finansowe. A tam, gdzie są finanse – są też rozliczenia. Toteż zarówno emigracja na Zachodzie, jak i podziemna „Solidarność” w kraju zaczęły zadawać Mańkowi pytania, nie tylko dlaczego transport wpadł, ale też dlaczego był tak wielki, co siłą rzeczy zwiększało ryzyko wypadki i poniesienia ogromnych strat finansowych. Wypominano Mańkowi niemałe koszty przerzutu na Zachód Andrzeja Słowika. To ostatnie odbijało mu się czkawką jeszcze długo. Kiedy w 1992 r. spotkał się w Paryżu z Bogdanem Borusewiczem, któremu przez parę lat wysyłał transporty ze sprzętem dla „Solidarności”, ten zaczął rozmowę właśnie od pytania, ile kosztowała podziemną „Solidarność” zorganizowana przez Mańka wyprawa Słowika i dlaczego tak dużo.

Nie uniknął też Maniek znacznie boleśniejszych dla niego pytań. Na przykład skąd wziął pieniądze na dom, który sobie kupił w 1987 r. Uniesiony ambicją, nawet nie próbował na to odpowiadać. Z góry założył, że nie obroni się przed posądzeniem o defraudację pieniędzy, które dostawał od Jerzego Giedroycia, rządu londyńskiego i Biura „Solidarności” w Brukseli na sfinansowanie organizowanego przez siebie szmuglu do Polski. On przecież wiedział, że na stary, stumetrowy dom do remontu wziął z banku kredyt na 350 tys. szwedzkich koron (ok. 60 tys. dolarów), ale wiedział też, że niewielu z jego krytyków w to uwierzy. Tym bardziej, że krajowa esbecja skrzętnie upowszechniała informacje o rzekomych Mańka defraudacjach. Robiła to w podziemnej prasie, do której miała operacyjny dostęp, zarówno w kraju, jak i za granicą.

O takich właśnie metodach zwalczania demokratycznej opozycji w Polsce pisze Henryk Piecuch, PRL-owski pułkownik Wojsk Ochrony Pogranicza, z zamiłowania publicysta i pisarz, rozprawiający szeroko o służbach specjalnych, w tym m.in. o bezpieczeństwie w Polsce Ludowej. Piecuch dostał sporo dokumentów bezpieczeństwa od generała Władysława Pożogi zwalczającego z rozkazu jeszcze ważniejszego generała – Wojciecha Jaruzelskiego – siły antysocjalistyczne na Zachodzie. Piecuch opublikował serię książek

pod wspólnym tytułem *Tajna historia Polski*, w których opisuje także wyczyny Mańka. W jednej z nich pt. *Służby specjalne atakują* (Warszawa 1996) mówi o kontrolowaniu i sterowaniu opozycyjnym podziemiem w Polsce poprzez bibułę produkowaną przez bezpiekę. Z lektury tej wynika, że przesadą byłoby sądzić, iż niektóre podziemne gazetki esbacja w całości redagowała, ale wrzucić mogła tam choćby jakieś potwierdzenie odbioru pieniędzy, którego faktycznie nie było. Piecuch twierdzi, że „egzemplarze z odpowiednimi pokwitowaniami drukowano na Rakowieckiej”, w dodatku na maszynach drukarskich pozyskanych przez resort w wyniku jego działań operacyjnych (*Służby...*, s. 383). A nieco dalej pisze tak:

Czasami drukarnie resortowe wspomagały produkcję wydawnictw nielegalnych. Miało to miejsce wówczas, gdy służby specjalne, drukując, a raczej przedrukowując wybrany tytuł, wzbogacały jego treść o trudno zauważalne uzupełnienia dezinformujące. Te fałszywki wprowadzano następnie do kontrolowanej przez bezpiekę sieci kolporterskiej podziemia, w której tylko niewielki procent stanowili agenci i informatorzy bezpieki. Większość kolporterów była agentami nieświadomymi (s. 392).

Posługiwała się też bezpieka sprawdzoną metodą propagandy szeptanej, co miało spowodować śmierć cywilną Mańka. W tej samej książce (s. 416) Piecuch wspomina o „wypracowaniach specjalistów bezpieki” mówiących o majątku Mańka zbitym na oszustwach przy rozliczaniu transportów z pomocą dla podziemia w Polsce. Te właśnie wypracowania mogły być źródłem złośliwych plotek o Mańku krążących wśród ludzi „Solidarności” za granicą. Przed takimi pomówieniami bronił Mańka redaktor Giedroyc na łamach paryskiej „Kultury”. Powtarzał mu też osobiście, że i w przeszłości Polaków, którzy zdecydowali się pracować na emigracji dla sprawy narodowej, nie spotykało od rodaków nic innego jak oskarżenia o zdradę i defraudację publicznego grosza.

Bo zdrady i defraudacji nie da się nigdy wykluczyć z działalności podziemnej, która z natury rozkwita w cieniu szarej strefy, miejscami nawet bardzo ciemnej. Prowadzony w niej obrót gospodarczy nie toleruje faktur, nie znosi VAT-u, ZUS-u i podatku dochodowego. Interesy robi się „na gębę”, żeby nie zostawiać dowodów na papierze. A więc w praktyce księgowym i kontrolerem finansowym jest w podziemiu każdy dla siebie sam. Czy więc w niewidoczny sposób uszczknie coś dla siebie z publicznego grosza, zależy tylko od niego. Wiedział to Maniek i dlatego uznał, że nie będzie udowadniał swojej uczciwości, bo i tak żadnych twardych dowodów na nią mieć nie może. Bolało go jednak to, że o swojej uczciwości święcie przekonani byli rodacy mieszkający w Szwecji, trzymający się z dala od politycznej roboty, ale za to pracujący na czarno mimo pobierania zasiłku dla bezrobotnych, zasiłku chorobowego albo szwedzkiego „socjału”. Taki status wykluczał jakiegokolwiek zarobkowanie, ale nie w przekonaniu owych „uczciwych” Polaków, oszukujących w ten sposób Szwedów na potęgę. Prawdę mówiąc, i Maniek był zmuszony niekiedy do tego, bo wiadomo – nikt świętym się nie rodzi. Ale on wpadał w tarapaty finansowe, gdy czas przeznaczony na pracę zarobkową poświęcał na organizowanie kolejnych transportów do zniewolonej przez komunistów ojczyzny. Inni robili to natomiast wyłącznie dla większej pajdy chleba i pełniejszej michy dla siebie.

Co gorsza, po wpadce w Świnoujściu uczciwość Mańka zaczęła podważać również Szwedzi. Wyszło na jaw, o czym rozpisywała się jedna z gazet, że fałszywa firma transportowa wysyłająca tira do Polski miała w rejestrze sądowym adres, który faktycznie nie

istniał, a podawany przez nią telefon firmowy należał do staruszki emerytki. Szwedom nie mieściły się w głowie takie machinacje, tym bardziej że nie mogli pojąć, jak proste maszyny drukarskie wwożone w tak wielkiej tajemnicy do Polski miały uratować Polaków i „Solidarność”. Maniek wobec takiego matolectwa był bezsilny. Dlatego, przekonując Szwedów do tego, co robił, tłumaczył im, że Polacy doznają teraz takiej opresji, jak oni w latach dwudziestych, kiedy szalał tam krwiożerczy kapitalizm, uznany przez socjaldemokratów rządzących Szwecją w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych za najciemniejszą epokę w dziejach ich kraju. I to dopiero skutkowało. Dzięki takiej opowieści jakieś wyciągnięte z biurowego zaplecza powielacze trafiały do rąk Mańka od różnych szwedzkich organizacji. Ten nie informował już swych łaskawców, że darowane przez nich maszyny wypłuć będą setki stron nielegalnej bibuły sławiącej pod niebiosa ów krwiożerczy kapitalizm, który jak koszmar śnił się po nocach postępowym Szwedom z partii rządzącej.

Państwo szwedzkie nie tolerowało tego, czego nie potrafili zrozumieć jego przywódcy. Dlatego po wpadce tira z podziemną kontrabandą wytoczyło Mańkowi w 1987 r. proces, a nawet dwa procesy, na podstawie papierów, które przekazała władzom szwedzkim polska bezpieka. Maniek przypomniawszy sobie wtedy, jak naiwne było jego myślenie sprzed prawie dwudziestu lat, kiedy po nielegalnym przejściu przez zieloną granicę z Jugosławii do Włoch postawił stopę na wolnej ziemi włoskiej, że teraz PRL-owski wymiar sprawiedliwości tu już go nie dosięgnie. Okazało się, że dosięgnie, chociaż nie bezpośrednio. Rząd szwedzki czuł się zobligowany do wypełnienia oczekiwań rządu PRL, reprezentującego przecież państwo połączone ze Szwecją przyjaznymi więzami, zwracające się o pomoc w zwalczaniu szkodliwej dla niego zorganizowanej przestępczości gospodarczej.

Maniek został oskarżony przez szwedzkiego prokuratora o wyeksportowanie do kraju zza żelaznej kurtyny wysokiej klasy amerykańskiego sprzętu elektronicznego, co było w Szwecji zakazane, oraz o braki w dokumentacji księgowej firmy transportowej, która wysłała tir do Polski. Oba oskarżenia upadły w sądzie. Pierwsze, kiedy okazało się, że wysokiej klasy sprzęt elektroniczny wysłany do Polski to tandetne komputery rodem z Tajwanu. Oskarżenie drugie obalili księgowy zatrudniany przez Mańka do prowadzenia księgowości jego firmy. Zeznał w sądzie, że dowody księgowe Maniek mu przekazywał, a on je potem pogubił. Sąd dał temu wiarę, ponieważ tenże księgowy został nieco wcześniej pozbawiony prawa wykonywania zawodu z powodu pijaństwa. Widać, z jakimi ludźmi Maniek musiał pracować. W końcu został dwukrotnie przez szwedzki sąd uniewinniony.

Nad obydwoma procesami Mańka w Szwecji wisiał cień Jałty i doktryny Breżniewa. W Jałcie, jak wiadomo, w majestacie prawa i z błogosławieństwem naszych zachodnich sprzymierzeńców z okresu wojny oddano Polskę i resztę Europy Wschodniej pod kuratelę Józefa Stalina i Związku Sowieckiego. Leonid Breżniew dokończył dzieło Stalina, formułując i realizując w latach sześćdziesiątych koncepcję o ograniczonej suwerenności państw bloku sowieckiego. Państwa te były więc suwerenne tylko pozornie, zachowując pewne mniej ważne atrybuty prawdziwej wolności. Był to tzw. porządek pojałtański, którego Szwecja absolutnie nie podważała, a jako państwo neutralne, kraj praworządny, odpowiedzialny i przewidywalny, przestrzegała bardzo sumiennie. Jej władze czuły się w obowiązku niewspierania burzycieli tego porządku, zwłaszcza gdy

domagał się tego ówczesny Związek Sowiecki przez swojego zwasalizowanego satelitę, jakim była Polska Rzeczpospolita Ludowa.

Maniek obserwował jednak z trwogą, że niektórzy ludzie „Solidarności” unieważnili w swoich umysłach ów pojałtański porządek. Na jesieni 1981 r., kiedy Jaruzelski wysłał w Polskę Wojskowe Terenowe Grupy Operacyjne, żeby przygotowały wdrożenie stanu wojennego, działacze „Solidarności” przyjeżdżający na Zachód wykrzykiwali z absolutnym przekonaniem: „Komuna w Polsce już leży!” Maniek słuchał tego z radością, ale i z niedowierzaniem, bo widział, jak się zachowują Szwedzi. Aż zjawił się w Paryżu Kisiel, czyli zawsze niepokorny Stefan Kisielewski, i przy „góralskiej” herbatce w gronie paru osób wypowiedział głośno to, co po cichu myślał Maniek: jeśli komuna w Polsce leży, to czemu „Solidarność” nie bierze w swoje ręce władzy leżącej na ulicy razem z nią, jak zrobił to Lenin w 1917 r. w Piotrogradzie? Zebrani na dłuższą chwilę zamilkli, a Kisiel nie kontynuował. Maniek usłyszał potem od jednego z rozmawiających, że Kisiel to stary ramol i nie ma się co przejmować jego słowami. Na dalsze dywagacje nie było czasu, bo ciągle było jeszcze tyle do zrobienia dla „Solidarności” w kraju.

Maniek był już zabiegany maksymalnie – stał się oficjalnym przedstawicielem NOW-iej w Szwecji. I wtedy rzekomo rozłożony na łopatki Jaruzelski zafundował „Solidarności” w Polsce stan wojenny, planowany systematycznie od roku. Wówczas nasz bohater naprawdę poczuł swoje życiowe powołanie, by zostać zawodowym rewolucjonistą-antykomunistą. Zlały się w jeden strumień wcześniejsze porywy. Jako się rzekło, od dziecka nadawał na komunę w kraju, potem z niej zdradziecko uciekł na Zachód. Tu doświadczył zwykłego losu PRL-owskiego emigranta: żył z głodowego zasiłku dla uchodźcy politycznego, grał w karty z kolegami i zaczytywał się w książkach o historii Polski wydanych na Zachodzie, a zakazanych w PRL. Gdy przyszedł grudzień 1970 r. i padły milicyjno-wojskowe salwy do robotników na Wybrzeżu, doznał wstrząsu. Jeździł do Ystad, najbliższego Malmö, gdzie mieszkał, małego portu na południu Szwecji, żeby zbierać informacje od przyplływających tam marynarzy z Polski. Na prośbę Giedroycia, z którym się telefonicznie skontaktował, wysyłał te informacje do paryskiej „Kultury”. Pikietował Ambasadę PRL w Sztokholmie razem z kilkunastoma polskimi Żydami zmuszonymi do emigracji na Zachód w marcu 1968 r. Maniek nie czuł się wśród nich najlepiej – byli to na ogół niedawni wysocy funkcjonariusze UB i PZPR, do których to instytucji Maniek miał wstręt wrodzony. Oni zaś wykrzyzczyć chcieli swój ból i sprzeciw z powodu odebranej im przez sprytniejszych towarzyszy ludowej ojczyzny, której oddawali przez lata wszystkie swoje siły.

Jednak po tym grudniowym zrywie Maniek zapadł w polityczny letarg. Przez osiem lat nie udzielał się politycznie. Skończył szkołę zawodową dla optyków, nauczył się języka. Aż raz przypadkiem spotkał w Lund Andrzeja Koraszewskiego, który go złowił dla Komitetu Obrony Robotników. To była jedyna, znana mu wtedy, organizacja sprzeciwiająca się otwarciu PRL-owskiej władzy. Dlatego w zasadzie mu nie przeszkadzało, że wielu spotkanych KOR-owców przynależało do PZPR, wielu z nich miało w tej partii swoich rodziców i rodzeństwo. Na przykład w Sztokholmie Jakub Świąćicki, związany z KOR-em emigrant polityczny z Polski, a w Warszawie jego rodzony brat Marcin Świąćicki, był wysokim funkcjonariuszem PZPR. Maniek niby to wiedział, bo jak to krakowski andrus nie był ani ślepy, ani głupi, ani naiwny, ale zachowywał się tak, jakby w ogóle tego nie dostrzegał. Zaczął z wielkim zapałem zdobywać powielacze dla

podziemnego wydawnictwa NOW-a, założonego i prowadzonego przez Mirka Chojeckiego z KOR-u. Wsiąknął od razu w środowisko KOR-owskie, bez reszty uznając, że ci ludzie walczą o uwolnienie Polski od komunizmu. A on przecież do tego się urodził.

Dopiero po kilkunastu latach, w latach dziewięćdziesiątych, nasza go przykra refleksja nieopuszczająca go do dzisiaj, że ów posiew KOR-owski dał Polsce ludzi takich jak Jacek Kuroń, Adam Michnik, Bronisław Geremek czy Tadeusz Mazowiecki, którzy rządili wolnym już niby od komunizmu krajem tak, jak trochę miłsi komuniści. Szczególnie przykre dla Mańka było to, że ci wybrańcy narodu poczuli się do obowiązku odwzajemnienia się jakoś towarzyszom z PZPR, którzy oddali im władzę. W 1992 r. Michnik pojechał nawet do Paryża z generałem Jaruzelskim, żeby go we francuskiej telewizji przedstawić Zachodowi jako człowieka honoru, a polskim dziennikarzom, którzy go dopadli w studiu tuż przed programem, kazał się od niego „odpieprzyć”. Niektórzy dawni towarzysze, pozbywszy się ważnych funkcji w PZPR, zdobyli takie zaufanie środowiska KOR-owców, że po 1989 r. zaczęli szybko awansować kolejno: w Unii Demokratycznej, Unii Wolności i w ich obecnej kontynuatorce – Platformie Obywatelskiej. Taką właśnie drogę przeszedł nie kto inny, jak wspomniany już Marcin Świąćicki, znany Mańkowi od 35 lat: w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych jako wysoki funkcjonariusz partyjny w Warszawie, nawet członek Komitetu Centralnego PZPR, potem, na początku lat dziewięćdziesiątych, jako minister w rządzie Mazowieckiego, a teraz jako poseł Platformy Obywatelskiej za rządów Donalda Tuska i Ewy Kopacz. Tenże towarzysz Marcin kolejno z PZPR, UD, UW i PO był bratem dysydenta i emigranta Jakuba ze Sztokholmu, z którym Maniek ostro współdziałał przeciw komunistom.

Kiedy wprowadzono stan wojenny, powiązania ludzi ze środowiska KOR-owskiego z ludźmi ze środowiska PZPR-owskiego przestały mieć dla Mańka większe znaczenie. Liczyła się wyłącznie wspólna walka z „czerwonym”, czemu postanowił poświęcić wszystkie siły. Zorganizował stały, cykliczny szmugiel maszyn drukarskich do Polski samochodem z podwójną ścianą i wreszcie przemyt wielkim tirem. Po pierwszym udanym kursie pojazdu do kraju w czerwcu 1986 r. został etatowym pracownikiem brukselskiego Biura „Solidarności”, odpowiedzialnym za cały przerzut maszyn drukarskich dla podziemnej „Solidarności” organizowany przez Biuro.

Nie cieszył się tym spełnieniem długu – zaledwie od czerwca do listopada. Po wielkim triumfie przyszła bowiem wielka wpadka drugiego tira wysłanego ze szmuglem do kraju. Maniek czuł, że kiedyś nadejść musiała, ale miał też jakieś wewnętrzne przekonanie, że jemu to się nie przydarzy. I nie było to dalekie od prawdy – gdyby drugi kurs tira się udał, trzeciego już by może nie było. Od 1988 r. wszystko szło już bowiem ku Okrągłemu Stołowi, a z Warszawy płynęły do Biura „Solidarności” w Brukseli stanowcze przestrogi, aby nie zepsuć klimatu przed rozmowami generała Czesława Kiszczaka z podziemną „Solidarnością” działaniami wrogimi wobec PRL, które niespodziewanie mogłyby wyjść na jaw. Maszyny drukarskie z Zachodu też przestawały być obiektem pożądania ludzi z krajowego podziemia solidarnościowego. Od Biura „Solidarności” w Brukseli chcieli przede wszystkim gotówki w twardej walucie, za którą mogli kupić zagraniczne offsety na miejscu w Polsce. Nie wiadomo, skąd pojawiły się w kraju oferty sprzedaży takich maszyn, o czym Maniek dowiedział się ze zgrozą dopiero teraz. Co

najmniej dwa takie przypadki zdarzyły się na przykład w Krakowie. Nie uwierzył, że to mogły być maszyny przeemycone przez niego ze Szwecji. W głowie mu się nie mieści, jak ktoś, kto taką maszynę od niego dostał, mógł ją potem sprzedać. Ale wytłumaczenie jest jeszcze jedno. Maszynami skonfiskowanymi z drugiego tira wysłanego przez Mańka mogła handlować z solidarnościowym podziemiem także bezpieka.

Nie ma na to mocnych dowodów, jak prawie na wszystko, co się działo w podziemiu. Są za to domysły, które przedstawił wspomniany już Henryk Piecuch. Indagowany przez niego generał Władysław Pożoga, w latach osiemdziesiątych szef służby wywiadu i kontrwywiadu PRL, przechwalał się, że polska emigracja na Zachodzie została przez niego dokładnie rozpracowana i nasyciona jego agenturą. Kilka rozmów z generałem znalazło się w kolejnej książce Piecucha z serii *Tajna Historia Polski* pt. *Pożoga. W Jaruzelski tego nigdy nie powie* (Warszawa 1992, 1996, 1996 – wyd. 3 rozszerzone). Z treści tych rozmów wynika, że służby Pożogi wiedziały prawie wszystko o Mańku i brukselskim Biurze „Solidarności”. Sam Piecuch daje takie oto podsumowanie dokonań Pożogi:

Służbie Pożogi, dzięki długofalowej, starannie przemyślanej pracy zmierzającej do zbudowania i ciągłego rozbudowywania sieci agentów, bez oglądania się na spektakularne doraźne akcje przeprowadzane na użytek propagandzistów (celowała w tym SB), udało się doprowadzić w zasadzie do pełnej infiltracji najważniejszych struktur „Solidarności” w kraju i zagranicą. Kontrolowano kanały przerzutowe i łączność wewnętrzną i zagraniczną. Doszło do tego, że dokumenty wysyłane np. z Biura Brukselskiego „Solidarności” w pierwszej kolejności trafiały na biurko Pożogi, a dopiero potem otrzymywał je adresat. Na podstawie dokumentów finansowych zgromadzonych w archiwum MSW w każdej chwili można było zrobić aktualny bilans dowolnie wybranego ośrodka „Solidarności” zagranicą. Główny jednak wysiłek wywiadu i kontrwywiadu położono na rozpracowanie ośrodków „Solidarności” w Brukseli, Paryżu, Londynie, we Włoszech, RFN, Szwecji, USA i Kanadzie (wyd. 3, s. 396-397).

Według Piecucha Pożoga twierdził nawet, że przemysł z Zachodu maszyn drukarskich i sprzętu elektronicznego dla „Solidarności” był sposobem na unowocześnienie wyposażenia jego resortu. Najpierw jego agent naciskał na organizatorów transportu, aby znalazły się w nim odpowiednie urządzenia, a potem taki transport był przejmowany przez funkcjonariuszy resortu, co było dodatkowo nagłaśniane przez PRL-owską propagandę jako kolejny cios zadany przez władzę ludową jej wrogom z Zachodu (*Służby...*, s. 392). W dostępnych historykom dokumentach nie ma mocnych dowodów na takie wyczyny ludzi generała. Ale jest na przykład niezaprzeczalnym faktem, że cały sprzęt elektroniczny o wartości kilkuset tysięcy ówczesnych dolarów, za którego przemysł państwo szwedzkie wytoczyło Mańkowi proces, został skonfiskowany przez władzę PRL i zapewne odpowiednio zagospodarowany. A co się stało z maszynami drukarskimi? Jeśli w podziemiu był na nie duży popyt, to po drugiej stronie barykady zaistniała nagle spora podaż. A skądinąd wiadomo, że u schyłku PRL niewidzialna ręka rynku dotknęła w pierwszej kolejności wiadomy resort. Jego funkcjonariusze w zastraszającym tempie zatracali ideowość i niebawem szybko nabywali życiową zaradność.

Po wpadce tira, jedyne go samochodu, który miał do szmugłu, Mańkowi usunęła się ziemia spod nóg i nie mógł działać dalej jak dotychczas. Był dla wielu swoich znajomych jak zapowietrzony, bo przypisywano mu winę za olbrzymie straty spowodowane

wpadką. Pojawiły się podejrzenia, że była ona skutkiem wystawienia transportu bezpie-
ce przez jej agenta działającego u boku Mańka. Po latach dobił Mańka jeszcze Piecuch,
pisząc, że teleks do polskich służb granicznych od szwedzkiego celnika w Ystad o tre-
fnym transporcie dla polskiego podziemia był ostatnim z serii meldunków, jakie otrzy-
mał o planowanym przerzucie generał Pożoga od swoich agentów ze Szwecji (*Służby...*,
s. 141), a wykaz przewożonego przez tira sprzętu dotarł na Rakowiecką na długo przed
wyruszeniem transportu z Lund (*Służby...*, s. 396-397).

Jakby tego było za mało, Mańkowi powinęła się noga po raz drugi. W rok po wpad-
ce tira zorganizował transport dla Solidarności Walczącej. Ponieważ nie dysponował
już ciężarówką, wynajął człowieka, który zaoferował mu własny samochód osobowy
z przyczepą kempingową. Maniek skorzystał. Wysłał do Gdańska trefny sprzęt innego
rodzaju niż zwykle – pistolety gazowe i inne przedmioty służące do obrony przed ata-
kiem fizycznym ze strony milicjantów i esbeków. Maniek od dziecka lubił być uzbro-
jony, wyleciał przecież z liceum za wystrzelenie z korkowca na lekcji, a potem dostał
w PRL dwa lata w zawieszeniu za nielegalne posiadanie broni. Rozumiał więc potrzebę
posiadania jej przez ludzi podziemia w Polsce.

Po kilku dniach od wyjazdu z Malmö specjalnego kuriera z ładunkiem dla SW Te-
lewizja Polska ogłosiła udaremnienie przez służby PRL nielegalnego wwiezienia do kra-
ju ekwipunku dla grup terrorystycznych. Maniek nie mógł zrozumieć, jak to się mogło
stać. Wyjaśnienia dostarczył mu wynajęty kierowca, który po kilku tygodniach wrócił
z Polski do Szwecji i przedstawił swoją wersję wydarzeń. Powiedział, że został esbecji
wystawiony przez odbiorcę transportu, ale cudem udało mu się uciec. Maniek uwierzył.
Uznał, że człowiek SW, do którego transport posłał, był agentem SB. Bolesna była to
prawda, bo człowiek ten miał żelazne referencje od Borusewicza.

Na domiar złego Jerzy Urban mówił w polskiej telewizji, że w transporcie od Mań-
ka znalazły się oprócz pistoletów gazowych, nadających się do przerobienia na ostrą
broń palną, także celowniki optyczne do karabinków snajperskich. Po tych rewelacjach
zachwiała się wersja Mańka, że wysłał do Polski jedynie przedmioty służące zwykłemu
człowiekowi do obrony przed fizycznym atakiem esbeków i milicjantów.

W tym momencie Maniek zupełnie się pogubił. Rok wcześniej, po wpadce w Świ-
noujściu tira z maszynami drukarskimi natychmiast sprawdzał przez swoich ludzi na
cle, co było powodem nalotu WOP-u na tę ciężarówkę. Stąd wiedział, że przyczyną był
teleks od celnika z Ystad, o czym napisała potem gazeta szwedzka na podstawie ustaleń
ze śledztwa. Natomiast po wpadce transportu dla Solidarności Walczącej Maniek nie
wykonał już żadnego sprawdzenia. Co więcej, tego samego kierowcę wysłał wkrótce
z powielaczami do Szczecina, o co usilnie prosił Andrzej Milczanowski. Tym razem
transport dotarł bez żadnych komplikacji.

I wszystko byłoby jak trzeba, gdyby nie cytowany już Piecuch, który w swojej
książce przedstawia dokładny plan ułożony przez generała Pożogę sprowadzenia ze
Szwecji do Polski sprzętu do samoobrony dla SW, przejęcia go przez esbecję i zrobienia
z Solidarności Walczącej organizacji terrorystycznej, aby pod tym zarzutem postawić jej
działaczy przed sądem. Agentem Pożogi okazał się nie kto inny, jak ów kierowca, który
zaoferował Mańkowi usługi przewozowe swoim samochodem z przyczepą (*Požoga...*,
s. 428-441). Odbierający transport dla SW człowiek Borusewicza okazał się czysty. Ma-
niek popadł z tego powodu w przygnębienie. Dał się nabrać na bajeczkę esbeckiego

agenta, wierząc w to, w co sam chciał uwierzyć, że agentem był nie człowiek od niego, lecz człowiek Borusewicza. Mańka czekała gorzka rozmowa z Borusewiczem na ten temat. Gdy po 1989 r. ten przyjechał do Paryża, od razu wypomnił to Mańkowi dosadnie.

Okazało się, że Piecuchowi można jednak wierzyć. Pytanie – na ile? Maniek wyraża się o nim lekceważąco. Mówi: „Piecuch opowiada bajki znad rzeki”. Z takich bajek śmiał się otwarcie dziesięć lat wcześniej, nie zdając sobie sprawy, że – jak w *Rewizorze* Nikołaja Gogola – śmieje się z samego siebie. Skarżył się mu bowiem Józef Lebenbaum, z którym współpracował w Lund, że PRL-owskie służby chciały go porwać. Maniek miał mu za złe jego chęć brylowania w zachodnich mediach. Kpił więc, że Lebenbauma chcą porwać chyba Cyganie. Okazało się po dziesięciu latach, że bezmyślnie wyśmiewał jak najbardziej uzasadnione obawy Lebenbauma, gdy Piecuch opisał w swojej książce zamiar Pożogi, aby porwać z zagranicy jakiegoś „solidarnościowego” działacza i wraz z innymi postawić go w kraju przed PRL-owskim sądem pod zarzutem przygotowywania zamachów terrorystycznych. Jedną z osób typowanych przez bezpiekę do porwania był właśnie Lebenbaum. Dokładny plan jego porwania przedstawił swoim zwierzchnikom Sławomir Petelicki, wówczas rezydent SB w Sztokholmie, późniejszy generał i dowódca jednostki GROM. Lebenbaum miał być uśpiony w jakiejś portowej knajpie środkiem nasennym podanym mu przez agenta i wywieziony jachtem na otwarte morze, gdzie „przesyłkę” przejąłby polski kuter rybacki z odpowiednio dobraną załogą. Ta opowiadka Piecucha wcale nie jest jakimś publicystycznym wymysłem, ale udokumentowanym zamierzeniem bezpieki, porzuconym jednak z niewiadomych powodów (*Służby...*, s. 389). Przewija się tam również nazwisko Mańka jako ewentualnego kandydata na oskarżonego przed PRL-owskim sądem o terroryzm (H. Piecuch, *Rendes-vous z generałem Petelickim*, Warszawa 2013, s. 163-167). Lepszy Mańka argument przeciw Piecuchowi to fakt, iż pisze on, że Kaleta został zmuszony do wyjazdu z kraju przez bezpiekę razem z Kornelem Morawieckim 30 kwietnia 1988 r. (*Pożoga...*, s. 268). Było to jednak zupełnie niemożliwe, bowiem Maniek mieszkał już od prawie dziesięciu lat w Szwecji. Zatem Piecuch w tym przypadku nie napisał prawdy, do czego się zresztą po latach przyznał, tłumacząc to zwykłym niedopatrzeniem. Może to więc jest jakieś pocieszenie, że można mu nie wierzyć, bo prawda, którą ogłasza, Mańka by zabiła. Piecuch głosi bowiem, że strategiczny plan, jaki realizował Pożoga, polegał na tym, aby szmugiel sprzętu poligraficznego z Zachodu dla podziemnej „Solidarności” w Polsce przychodził w jak największych samochodach, których przejęcie przez esbecję byłoby najbardziej efektywne. A Maniek pamięta, że na organizowanie transportów tirem naciśkał sam Milewski.

Piecuch nie poprzestaje na tym. Przytacza słowa Pożogi, że zgarnianie przez jego służby maszyn drukarskich i innych rzeczy szmuglowanych z zagranicy było ostatecznością, ponieważ bardziej opłacało się takie transporty przez granicę przepuszczać, po ich uprzednim prześwietleniu i zaopatrzeniu w tzw. pluskwy. Pozwalało to namierzyć taką maszynę, kiedy już została zainstalowana w odpowiedniej melinie i zaczynała drukować. Zgarniało się wtedy i maszynę, i jej obsługę. Według Piecucha wyglądało to tak:

W pewnym okresie doszło do tego, że zapotrzebowania na wybrane towary i sprzęt opracowywano na Rakowieckiej. Szmuglowanego towaru nie przejmowano na granicy, a spo-

kojnie czekano na jego rozproszanie po kraju i dopiero wówczas konfiskowano z góry określoną część szmuglu, przeznaczonego na doraźne potrzeby bezpieki (*Służby...*, s. 392).

Maniek twierdzi jednak, że ówczesne esbeckie pluskwy były na tyle marne, że nie dawały takich możliwości. Niemniej upadał kolejny argument Mańka, że jeśli jego szmuglerskie transporty do Polski nie wpadały w ręce bezpieki i docierały do adresatów, to służby o nich nic nie wiedziały. O tym, że tak wcale nie musiało być, przekonał się osobiście, kiedy do Milczanowskiego w Szczecinie dotarły bez przeszkód maszyny przywiezione mu ze Szwecji przez agenta Pożogi, wynajętego i opłaconego przez Mańka. I przez Pożogę również.

Oczywiście wtedy jeszcze nie wiedział, kogo naprawdę do Milczanowskiego wysyłał. Poczul wokół siebie pustkę. Rodacy z emigracji nie palili się do walki z komuną. Ciężko było wysłać do kraju nawet zwykłą korespondencję. Dlatego, wbrew wszelkim zasadom konspiracji, listy od niego do najważniejszych ludzi krajowego podziemia jechały razem z maszynami i razem z nimi wpadały. A jeśli transport był przez bezpiekę przepuszczany, to – tak jak pisze Piecuch – przewożona przez agenta korespondencja była dokładnie kopiowana.

Około 1988 r. Maniek dowiedział się, że nie sposób przejechać przez polską granicę samochodem osobowym z przyczepą kempingową bez uważnej kontroli celnej, jak to dwukrotnie rzekomo zrobił agent Pożogi. Celnicy przymykali oko jedynie na samochody o statusie specjalnym, nadawanym przez esbecję. Dlatego pod koniec swojej pracy dla Biura „Solidarności” w Brukseli Maniek zupełnie przestał interesować się losem maszyn, które na zlecenie Milewskiego nadal organizował na wysyłkę do kraju. Miał wewnętrzne przeświadczenie, że cały ten szmugiel znalazł się już w esbeckich rękach. Nie jest to dalekie od szacunku podawanego przez Henryka Piecucha w e-mailu do mnie (z 5 grudnia 2013 r.), że bezpieka kontrolowała i po sprawdzeniu przepuszczała przez granicę 80% dużych szmuglerskich transportów ze sprzętem poligraficznym do Polski.

Mimo to zdecydowanie nie można zgodzić się z tym, co Piecuch sugeruje, że cała szmuglerska działalność Mańka była przez bezpiekę sterowana. Maniek na takie opinie puka się w czoło i prosto z mostu, jak to on, odpalił Piecuchowi, kiedy spotkał się z nim w Warszawie w 1995 r.: „Czyś pan zwariował, panie Piecuch?”

Zapewne ma w tym dużo racji. Trzeba bowiem pamiętać, że zabawa w policjanta i złodzieja, którą Maniek uprawiał z bezpieką przez długie lata, ma parę zasad szokujących nieraz normalnych ludzi. Policjant tropi na przykład złodzieja, ale niekoniecznie, żeby go złapać. Dlaczego? Bo chce mieć stałą pracę i być stale potrzebny władzy. Jeden policjant likwiduje więc podziemne drukarnie, a drugi pomaga je zakładać, dostarczając na przykład sprzęt albo oferując usługę nielegalnego druku bibuły. Rodzi się rywalizacja między policjantami. Dlatego jeden departament wiadomego resortu skrzętnie ukrywał przed drugim źródła informacji o zasadniczym znaczeniu w pracy operacyjnej, także zresztą dla niezbędnego zabezpieczenia podejmowanych przeciwko opozycji działań. Policjant mozolnie namierza złodzieja i sama zdobyta w ten sposób wiedza daje mu poczucie panowania nad nim, niekoniecznie więc wykorzystuje ją w praktyce. Tak działała już ponad wiek temu carska Ochra – wzór dla policji politycznych na całym świecie.

A złodziej na tym korzysta, nawet gdy o tym nie wie. Dziwi się tylko niekiedy, że policjant jest tak głupi, bo gdyby naprawdę chciał, to nakryłby złodzieja w pięć minut.

Wystarczyłoby wychwycić odwieczne animozje i swary między liderami podziemia wywoływane przerostem ambicji tych ludzi i chorą rywalizacją między nimi. Ale zabawa trwa, ponieważ obu stronom przynosi zamierzone korzyści: policjant ma stałe, dobrze płatne zajęcie i uznanie ze strony swojej zwierzchności, a złodziej możliwość wypełniania swojej szlachetnej misji.

Zabawa w policjanta i złodzieja, którą z takim zapałem uprawiał Maniek, miała też swój aspekt moralno-etyczny odmienny dla obu stron. Moralność nie obowiązywała bowiem policjanta, który uosabiał siły zła. Obowiązywała natomiast złodzieja, który, jak Maniek, występował po stronie dobra. Nijak się to miało do realiów antykomunistycznego podziemia. Działając w najszlachetniejszym celu, jakim było wyzwolenie Polski od „czerwonego”, Maniek zmuszony był na co dzień do zadawania się ze zwykłymi kryminalistami. Stosował też ich metody – omijał cło i inne podatki, fałszował dokumenty, organizował nielegalny przemysł ludzi z kraju do kraju. To mogło budzić uzasadniony niepokój nawet u ludzi po tej samej stronie barykady, którzy chcieli być moralnie czysti, służąc wielkiej narodowej sprawie. Przez to również ściągał na siebie uwagę szwedzkich służb specjalnych. Wiedziały one o patriotycznej działalności Mańka, ale też bacznie obserwowały jego kontakty z narkotykowym podziemiem, do czego dochodziła jeszcze inwigilacja z powodu poszlak wskazujących na jego działalność terrorystyczną.

Jak pisze Piecuch, służby szwedzkie tropiły przede wszystkim międzynarodowych terrorystów. Doświadczył tego Maniek osobiście, kiedy na lotnisku w Kopenhadze został przez dwóch cywilnych osobników brutalnie wrzucony do toalety, obezwładniony i dokładnie przeszukany. Z ich zachowania i rozmów wywnioskował, że szukali u niego broni. Ponieważ jej nie znaleźli, odstawili go do samolotu, który na niego czekał. Lecił wtedy do Berlina na spotkanie ze specjalnym wysłannikiem Kornela Morawieckiego z Solidarności Walczącej. Okazało się potem, że był to jeden z agentów Pożogi. Maniek wiozł na to spotkanie mikrofilm sygnowanej przez CIA instrukcji dla ruchu oporu, przygotowanej przez Amerykanów na wypadek, gdyby jakiś kraj dostał się pod okupację innego państwa. Duńscy funkcjonariusze nie uznali mikrofilmu za materiał trefny. Maniek pozbył się jednak tych materiałów natychmiast po odstawieniu go do samolotu. Tak na wszelki wypadek, żeby nie złapali go z tym Niemcy. I coś było na rzeczy, bo wedle Piecucha taka instrukcja dla ruchu oporu była faktycznie instrukcją szkoleniową dla terrorystów.

Łatwo było zatem podejrzeniem o terroryzm odrzec Mańka z godności, która przysługiwała zwykłym ludziom, a potem potraktować jak pospolitego przestępcę. Czyniły to fachowo PRL-owskie służby. I to by nie było najgorsze, bo naród im i tak nie wierzył. Najgorsze było to, że dawały się przekonać do tego służby szwedzkie. Stąd mocne przeświadczenie Mańka, że nieraz musiało dochodzić do bezpieczniackiej współpracy wiadomych służb Polski i Szwecji przeciwko niemu.

Te harce ze służbami urozmaicało dodatkowo samo życie, upodabniając je czasami do komedii pomyłek. Bezpieka na przykład, chcąc się dostać do Mańka, zastawiła pułapkę na kierowcę Svena Järna, którego Maniek posyłał do Polski samochodem z podwójną ścianą, za którą szmuglował powielacze. Ktoś poprosił, żeby Järn przewiózł do Polski niewinną paczuszkę. Ten wrzucił ją do szoferki, a na polskiej granicy dziwnym trafem od razu zwróciła ona uwagę celników. Po rozpakowaniu znaleźli w niej zakazaną w Polsce bibułę. Dwaj esbecy wzięli Svena na przesłuchanie i po rutynowym straszeniu

wymusili na nim pójście na współpracę. Ten zobowiązanie podpisał, tym chętniej że na pace swojego auta, które na czas przesłuchania aresztowali, miał z dziesięć maszyn drukarskich nadanych do kraju przez Mańka. Esbecy pracowali jednak nad Svenem, a nie nad jego autem. Dlatego, kiedy podpisał zobowiązanie do współpracy, puścili go wolno, wyznaczając mu zadania do wykonania. Sven od razu pojechał do Warszawy, żeby trefny towar dla podziemia spokojnie wyładować pod wskazanym adresem. Potem jeździł jeszcze wielokrotnie do Polski, wioząc za każdym razem szmugiel dla „Solidarności”. I za każdym razem meldował SB, że na wypełnianie wyznaczonych mu zadań nie pozwalają mu trudne warunki życiowe. Znudzona tym esbecja uznała, że jest mało inteligentny i źle rokuje, więc wyrejestrowała go w końcu po kilku latach jako agenta mało efektywnego. Zaś gdy Sven bawił się z bezpieczką w kotka i myszkę, nie miał o tym pojęcia Maniek, bo nie został przez niego o tym poinformowany. O całej sprawie dowiedział się dopiero niedawno z papierów gdańskiego IPN-u, z których wynika, że Sven Järn został zwerbowany przez SB w Gdańsku 13 października 1983, a wyrejestrowany 7 maja 1986 r. Zapytał od razu Svena, dlaczego mu o wszystkim nie powiedział. Ten odparł rozbijając szczerze – „Nie pozwoliłbyś mi do Polski jeździć”.

I tak Maniek, król szmuglu, mógł zostać w dziecienny sposób zakapowany, nic o tym nie wiedząc. Nie uczynił tego Sven, a przynajmniej nie ma na to dowodów w IPN-ie, chociaż Piecuch utrzymuje w cytowanym już e-mailu do mnie, że Sven „sypał i maskował innych agentów”. A pozostali współpracownicy? Maniek zaprzecza twierdzeniom Piecucha, jakoby bezpieka miała aż kilku swoich agentów w gronie ludzi, z którymi współpracował, a zwłaszcza w Biurze „Solidarności” w Brukseli. To trafienie w jego czuły punkt. Sam przyznaje się wyłącznie do jednego trefnego kontaktu z agentem bezpieki nadanym mu przez Lebenbauma, kiedy posłał tegoż agenta ze sprzętem do Gdańska dla Solidarności Walczącej, a potem raz jeszcze do Szczecina z powielaczami do Milczanowskiego. Innym, podobnym kontaktom zdecydowanie zaprzecza. Jest w tym nieugięty. Kwestionuje całkowicie rzetelność dokumentów bezpieki, w tym meldunki agentów, którzy dokładnie opisują swoim oficerom prowadzącym, co Maniek im powiedział, co i gdzie im zlecił przewieźć, co z nimi ustalił i ile im zapłacił. Oczywiście, nie zdając sobie sprawy, z kim ma do czynienia. Pod tym jednym względem przypomina on trochę Adama Michnika, w opinii Mańka antybohatera walki z komuną, który ogłosił w „Gazecie Wyborczej” swój sławetny postulat, aby archiwa SB zabetonować na 50 lat, bo nie znajdzie się w nich prawdy.

Maniek pozbawia wiarygodności nie tylko dokumenty bezpieki ujawnione przez Piecucha, ale i inne, obficie cytowane na przykład przez Edwarda Stępnia, badacza procesów politycznych w latach osiemdziesiątych w Polsce, a znajdujące się w Delegaturze IPN w Koszalinie, ze sprawy operacyjnego rozpracowania „Stacja” („Kołobrzeg w archiwum IPN” na stronie internetowej www.edwardstepien.pl). Maniek nie odpuszcza nawet dziennikarzowi „Newsweeka”, który w czerwcu 2006 r. (nr 24) napisał o dwóch transportach maszyn drukarskich tirami równo sprzed dwudziestu lat. Jest tam wypowiedź Jacka Merkela o incydencie, który wydarzył się po pomyślnym rozładunku w 1986 r. pierwszego tira ze Szwecji. Któryś z pojedynczych odbiorców rozładowanego już sprzętu wioził odebrany powielacz do swojego regionu. Wpadł na patrol drogówki, która odkryła, co wiezie. Człowiek ten zaprosił milicyjny patrol do domu i tam wręczył milicjantom tysiąc dolarów łapówki, za co oni odstąpili od czynności służbowych.

Potem podziemna „Solidarność” zwróciła mu te dolary, choć facet nie bardzo chciał je przyjąć, twierdząc, że wypadka nastąpiła z jego winy. Maniek kwestionuje tę historijkę. Mówi, że facet wioził nie jedną, a dwadzieścia maszyn, i choć rzeczywiście zaproponował milicjantom tysiąc dolarów, ci łapówki nie wzięli i odstawili go „na dołek”, a na dodatek po procesie sądowym dostał za to jeszcze sześć miesięcy odsiadki plus wyrok trzech lat za posiadanie trefnych maszyn. Maniek jest święcie przekonany, że było, jak mówi, a „Newsweek” może sobie pisać, co chce.

W owej totalnej negacji przez Mańka esbeckich kwitów tkwi pewna sprzeczność, której on, zdaje się, nie dostrzega. Skoro nie jest przez niego podważana wiarygodność przedstawionego przez Piecucha planu Pożogi przejęcia sprzętu dla SW w Gdańsku, to dlaczego niewiarygodne mają być meldunki esbeckich agentów dotyczące innych działań Mańka? On zaś zaklina się, że bezpieka nie miała żadnych szans wciśnięcia swojego człowieka do Biura „Solidarności” w Brukseli. Ale w książce Piecucha zostały zamieszczone fotokopie kilku stron osobistego notatnika Milewskiego z jego odręcznymi notatkami dostarczone przez agentów Pożogi (*Pożoga...*, s. 142). Brukselskie Biuro „Solidarności” nie było zatem tak szczelne, jak się Mańkowi zdaje.

Jednak absolutnie nie podważa to sensu działań Mańka i innych bliskich mu ludzi na rzecz wyzwolenia Polski spod komunistycznej władzy, bo jedynym skutecznym sposobem zabezpieczenia się przed agenturą byłoby... zaprzestanie antysocjalistycznej działalności. Natomiast knucie prowadzone choćby z jakimś udziałem agentów bezpieki zwiększało szanse osiągnięcia założonego przez Mańka celu. Najlepszym tego dowodem są słowa Edwarda Gierka – w sierpniu 1980 r. I sekretarza KC PZPR – wspominającego dziesięć lat później w książce Janusza Rolickiego pt. *Edward Gierek: Przerwana dekada*, że kiedy trwał już na dobre sierpniowy strajk w Stoczni Gdańskiej, ówczesny minister spraw wewnętrznych Stanisław Kowalczyk na posiedzeniach Biura Politycznego KC PZPR „przechwalał się, że Wałęsa jest jego człowiekiem” (s. 206). Tenże Gierek przypomina, że w biurku Jarosława Sienkiewicza, przywódcy strajku w Jastrzębiu, śląska „Solidarność” znalazła „instrukcje nadesłane z SB” (s. 216). A mimo to wiemy, jak źle się to skończyło dla komuny, niezależnie od tego, że sam Gierek był święcie przekonany, iż lipcowo-sierpniowe strajki w 1980 r. inspirowane były przez nieposłuszną mu bezpiekę. Poniekąd potwierdza to i Wałęsa w liście do Gierka:

W sierpniu 1980 roku ludzie Kowalczyka próbowali wydobyć mnie ze stoczni pod pretekstem ważnych rozmów z Panem. Ja się zgodziłem. Oni meldowali – myśląc, że uda im się mnie zastraszyć lub zaszantażować (tak przypuszczam). Natomiast ja po paru dniach zwłoki wzmacniając strajk wyprosiłem tych panów ze stoczni. Tak to nie po raz pierwszy i nie ostatni rozegrałem partię pokera, Panie Gierek. Życzę zdrowia, a historii ocenę. Wałęsa (J. Rolicki, *Edward Gierek. Replika*, Warszawa 1990, s. 191).

Dzisiaj możemy stwierdzić, że informacje, iż na czele największych sierpniowych strajków stało trzech agentów SB, tj. w Gdańsku Lech Wałęsa, w Szczecinie Marian Jurczyk, a w Jastrzębiu Jarosław Sienkiewicz, nie znajdują potwierdzenia w dostępnych źródłach historycznych. Wiemy, że Wałęsa w 1976 r. został wyrejestrowany z sieci agenturalnej SB, Jurczyk, choć miał operacyjny kontakt z SB od 1977 r., nie spełnia obowiązujących obecnie w polskim prawodawstwie wymogów tajnego współpracownika, a Sienkiewicz, jako członek PZPR, nie mógł być zarejestrowany jako TW, co nie wy-

kluczało innych form współpracy, choć brak na to bezpośrednich dowodów – pozostają jedynie poszlaki, tj. wspomniane instrukcje otrzymane z SB i wyrzucenie go z nowo zarejestrowanej „Solidarności” jeszcze przed końcem 1980 r. A zatem, mając wtedy tę całą wiedzę, należałoby spokojnie uznać, że nie warto strajkować, czyniąc przysługę SB.

Dlatego Mańkowi należy się wielkie uznanie za to, co zdołał, bez względu, czy był otoczony agentami bezpieki, czy nie. Na maszynach, które do kraju przesmuglował, drukowało się w Polsce tony nielegalnej, antykomunistycznej bibuły. Co prawda, taka sama bibuła, choć w nieporównywalnie mniejszych nakładach, drukowana była w Krakowie, w Warszawie, a może i w innych miejscach, na maszynach pracujących pod ścisłym nadzorem esbecji. Siła rażenia tych publikacji, pomijawszy różnice w nakładach, była jednak niezależna od źródła jej pochodzenia. Jest wszakże pewne, że do obalenia komuny w Polsce nie wystarczyłaby wyłącznie bibuła, której druk nadzorował wiadomy resort.

Mimo tak wielu zawłości moralno-etycznych Maniek zachował poczucie dobrze wypełnionego przez siebie obowiązku służenia ojczyźnie. Na dowód przedstawia bilans dokonań. Twierdzi, że przy tak mizernych nakładach finansowych, jakie przeznaczono na podziemną „Solidarność”, osiągnęła ona nieprawdopodobnie wielkie rezultaty. Bo z czym można porównać zburzenie Muru Berlińskiego i wyzwolenie całej Europy Wschodniej spod sowieckiej hegemonii? Z niczym. A Zachód wyasygnował na to, zdaniem Mańka, zaledwie jakieś 12 milionów dolarów w ciągu niespełna dziesięciu lat w okresie 1982-1989. W porównaniu z osiągniętym rezultatem są to, jego zdaniem, śmiesznie małe pieniądze. Trzeba tylko żałować, że nie było ich dziesięć razy więcej, bo wtedy PRL trzymałaby się po 1981 r. dziesięć razy krócej, może jakieś pół roku. Maniek się oburza, że Amerykanin Peter Schweizer napisał w swojej książce *Victory. The Reagan Administration's Secret Strategy that Hastened the Collapse of the Soviet Union* (1994), iż z samej tylko amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej przepływała do „Solidarności” rocznie kwota, która – jak Maniek szacuje – wystarczyłaby na bez mała dziesięć lat jej działalności. Tymczasem podaje przykłady biedy, która była udziałem środowisk emigracyjnych zaangażowanych w solidarnościowe podziemie. Twierdzi, że można to wykazać na podstawie dokumentacji finansowej Biura „Solidarności” w Brukseli. Faktycznie, można by. Jest jednak niespodziewana przeszkoda. Ta dokumentacja była w brukselskim Biurze do 1994 r., kiedy ludzie wysłani z Regionu „Solidarności” we Wrocławiu przyjechali po nią, wrzucili do samochodu i wywieźli do Polski. Po drodze papiery fruwały po całym samochodzie, ponieważ były wrzucone do niego luzem, a następnie wylądowały na parę lat w podmokłej piwnicy. W końcu zgniły i nie przedstawiają dzisiaj większej wartości dokumentacyjnej. Maniek dziwi się, jak do tego dojść mogło, bo razem z tymi papierami zgniła przecież prawda o nakładach na jego walkę z komuną. Jak teraz udowodnić, że pieniędzy na tę walkę było tak mało? Jak udowodnić, że utopienie papierów brukselskiego Biura „Solidarności” było tylko wynikiem głupoty? Jak nie porównać tego do palonych przez bezpiekę zaledwie kilka lat wcześniej ognisk pochłaniających na zawsze esbeckie teczki kryjące w swym wnętrzu nagą prawdę o PRL?

Te wszystkie pytania nie dają Mańkowi spokoju. Próbował się dowiedzieć czegoś o nazwiskach ludzi, którzy zabrali do Polski papiery Biura „Solidarności” z Brukseli.

Według Mańka zna je Joanna Pilarska, ostatnia szefowa Biura po Milewskim. Ale ona zdradzić ich nie zamierza. Jeszcze trochę i tę tajemnicę zabierze do grobu.

Byłoby to jakieś potwierdzenie teorii Piecucha, podającego w wątpliwość prawdę o „Solidarności” w Mańkowej wersji. Według opinii Piecucha, Milewski wraz z całym jego brukselskim Biurem był dokładnie obstawiony agentami Pożogi. W wersji zaś ogłoszonej przez Kornela Morawieckiego, dla Mańka – największego bohatera konspiracji w Polsce lat osiemdziesiątych, Milewski był nawet przez tych agentów prowadzony. Morawiecki potwierdził to w niedawnej rozmowie telefonicznej ze mną. Dla Ireny Lasoty, działającej na rzecz „Solidarności” w Nowym Jorku, współpracującej z Mańkiem także, Milewski był wprost agentem bezpieczeństwa. Pisze o tym Piecuch, powołując się na rozmowę z nią przeprowadzoną przez A. Zawłocką, drukowaną w „Expressie Wieczornym” z 31 lipca 1992 r., pt. *Tajemnica Biura Brukselskiego (Służby..., s. 396)*. Pośrednim na to dowodem może być objęcie przez Milewskiego w 1995 r. funkcji szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego za prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego, po tym, gdy szefem BBN był już w okresie od lutego 1991 do kwietnia 1994 r. za prezydentury Lecha Wałęsy. Oznaczać by to musiało, że i Maniek pracował pośrednio dla Pożogi. A w to uwierzyć mu nie sposób. Żaden krakowski andrus nie dałby się przecież tak wykiwać.

Niestety, co do jednego Maniek wątpliwości nie ma, co w jakiś sposób mogłoby potwierdzać domniemania Morawieckiego i Lasoty: Polska, o którą walczył, jak umiał, przez całe swoje życie, nie jest tą Polską, którą mamy teraz.

lipiec 2015

